Nr. 33. We Lwowie dnia 16. sierpnia 1896. Rok 4.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha

Ze statyki i dynamiki ludowej

(podług obserwacji czynionych na góralszczyźnie).

Bogatym jest w zasoby fizyczne i duchowe Góral tatrzański, bodaj najbogatszym z całego ludu polskiego. Silny a kształtny, lekki i elastyczny a wytrzymały, czerstwy i długowieczny a piękny z jednej strony; refleksyjny a uczuciowy, wesoły a głęboki w uczuciach, porywczy a stały i głęboko przywiązany do swego gniazda, bystrego umysłu, odważny, dowcipny, pełen zapału i entuzjazmu a przenikliwy z drugiej strony, — to są właściwości jego przeważnie dodatnie (inne ujemne w tej chwili pomijam), które trudno znaleźć sprzęgnięte razem gdzieindziej, a tak tylekrotnie stwierdzone, że albo dla ich uzasadnienia potrzeba spory tom napisać, albo ograniczyć się na prostem zarejestrowaniu. Tak samo zachować się wypada wobec drugiej tezy: o ile te właściwości dzieli góral tatrzański z innymi góralami na świecie, oraz — o ile one są wynikiem warunków rasy, a jeszcze bardziej orograficznych i klimatycznych czyli w ogóle fizjograficznych tudzież zależnych od nich — społeczno-dziejowych.

Jeśli nie w połowie, to w pewnej mierze, dość zresztą znacznej, te piękne Tatry nasze straciłyby na wartości, gdyby w nich czy przy nich nie było górali; w każdym razie robiłyby inne na nas wrażenie, podobne do wrażeń cudzoziemca, nie znającego i nie rozumiejącego górali, albo poniekąd do martwego płótna pejzażu, nieożywionego obecnością istoty żyjącej. Powiadam »poniekąd«, bo w miejsce górali, postawmy tam innego chłopa, a wrażenie będzie odmienne.

Górale nasi są z całego ludu polskiego najmniej rozwinięci politycznie — powiedział mi niedawno jeden z naszych publicystów.

Jest sporo prawdy w tem zdaniu, pomimo iż się wydaje ono na pozór dziwnem wobec powyższych właściwości góralskich.

Gdy po najbardziej uspołecznionych Wielkopolanach i Szlązakach przyszła kolej na Krakowiaków, Mazurów i innych, kółka rolnicze, ich sklepiki i czytelnie zaczęły powstawać i rozwijać się wszędzie z łatwością i powodzeniem; u górali z wielkim trudem zaledwo parę tych instytucji ciężko wegetuje. W samem Zakopanem Kasa zaliczkowa ulega ciągłym przesileniom, a założone tamże i w Chochołowie czytelnie z gospodami herbacianemi, mimo ofiarności założycieli — upadły. Czasopisma ludowe najmniej mają prenumeratów między góralami. O zgromadzeniach i wiecach ludowych, organizowanych tak często wszędzie po powiatach zarówno ze strony konserwatystów jak ludowców, ani słychu na Podhalu. Ostatnie walki wyborcze, tak gorące gdzieindziej, tu wcale nie znane. Na wystawę powszechną we Lwowie 1894 r. na którą setki i tysiące chłopów rwały się z innych powiatów, udało się zebrać zaledwo parę dziesiątków górali przy niemałych wysiłkach i ofiarności redakcji »Gońca Tatrzańskiego«.

Jak to zjawisko wytłumaczyć?

Gdybyśmy stanowczą i apodyktyczną byli w stanie dać odpowiedź na wszelkie objawy życia ludowego, to kwestja ludowa zostałaby rozstrzygniętą, a ludoznawstwo z całą dzisiejszą folklorystyką nie miałoby nic do czynienia.

Niestety, daleko do jednego i drugiego. Jesteśmy w stadjum badania i wyciągania wniosków mniej lub więcej udatnych w każdym poszczególnym wypadku.

Zaznaczmyż parę momentów badania i w tym razie.

Przedewszystkiem powiedzmy sobie, że dla życia politycznego i społecznego potrzeba uspołecznienia, które albo może być zewnętrznie normowanem, albo samoistnem, wywołanem zdolnością czy instynktem asocjacyjnym, lub poczuciem potrzeby,

Człowiek jest istotą asocjacyjną, czyli ma instynkt, zdolności i potrzebę asocjacyjności. Czy jednak większy lub mniejszy jej stopień, zależny od rozwoju i dojrzałosci jednostek tudzież potrzeb zewnętrznych stałych i czasowych, ulega też wpływowi rasowości? Czy jedne rasy (względnie szczepy) są zdolniejsze od drugich do asocjacyjności *ceteris paribus?* Może i tak. A jeżeli tak, to powstaje druga kwestja nie wyjaśniona: z jakiego szczepu pochodzą górale? O wpływach więc rasowości na razie mowy być nie może.

Natomiast o indywidualizmie, który tak ważną odegrywa rolę w asocjacyjności, da się coś tu powiedzieć. Człowiek, żyjący jako góral jednocześnie na przestrzeniach wielkich niedostępnych i mało dostępnych, gdzie wśród jednych i drugich liczyć musiał na własny dowcip, zręczność i odwagę, a stosować się do niezmiernych a różnych niż w dolinach warunków klimatu i terenu, wśród warunków dziejowych, sprzyjających wolności osobistej i klasowej, — taki człowiek musiał wyrobić w sobie i silną indywidualność, i szerokie, wyraziste a właściwe mu ogólne szablony, różne wszakże od szablonów nizin, stepów, pomorza.

O jednych i drugich wiedzą zarówno uczeni, jak turyści i szersza publiczność, ale wiedzą też i sami górale. Szablon swój i odrębność wyrażają, zowiąc sami siebie góralami, a innych „wsiakami“, „lachami“, „dolnymi ludźmi“, „swiatowcami“ etc., a indywidualizm swój wybornie zaznaczyła pewna baba wobec badacza Spiżu mówiąc: „co jedna chałupa — to insa nauka“.

Teraz pytanie, jakiego rodzaju jest ten indywidualizm szkodliwy czy pożyteczny asocjacyjności? Pod tym względem — zdaje się — nie może być odpowiedzi dwoistej: każdy indywidualizm — po za granicami niezbędnej dla asocjacji inicjatywy celem jej utrzymania lub rozwoju życiowego *) jako sprzeczny z naturą asocjacyjności jest dla niej stanowczo szkodliwy w zasadzie. Kto tylko bliżej zetknął się z góralami i jął się z nimi usiłowań, wymagających asocjacyjności, musiał dostrzec ten ich wybujały indywidualizm, który do rozpaczy przywodził natury gorętsze i objawami swemi przypominał momenta najjaskrawsze takiegoż indywidualizmu w dziejach politycznych Rzeczypospolitej.

(C. d n.).

*) A tu rozumiemy też i owe bogactwo sił i czynników, często potrzebnych w asocjacji, które wnosi z sobą wszechstronność i rozmaitość sił indywidualnych.

Antropologia

na wystawie hygienicznej w Warszawie.

Zbiór przyrządów. służących do pomiarów antropologicznych, a pozostających na wystawie pod opieką p. K. Strzelbickiego, jest w Warszawie prawdziwą nowością. I antropologja, jako nauka systematycznie uprawiana i mogąca się poszczycić wnioskami rzetelnej wartości, jest u nas zaledwie w zaraniu swojego rozwoju. Antropologów mamy garstkę bardzo nieliczną, badania antropologiczne nad ludnością Królestwa Polskiego dokonywane były i są dorywczo, bez planu z góry zakreślonego; materjał statystyczny, zdobyty przez te badania, jest nader skąpy. W wydawnictwach Akademji Umiejętności w Krakowie znajdujemy prace Majera i Kopernickiego, dotyczące ludności galicyjskiej; w tychże wydawnictwach przed laty zamieszczona była praca dra Dudrewicza o pomiarach antropologicznych dzieci warszawskich. W ostatnich czasach przybyły cenne szczegóły w pracy p. A. Zakrzewskiego p. t. »Wzrost w Królestwie Polskiem — przyczynek do charakterystyki fizycznej Polaków«. Nadto na polu badań antropologicznych odznaczył się u nas w ostatnich latach dr. Olechnowicz, który badał ludność guberni lubelskiej i zestawia swe wyniki z badaniami nad Słowianami zamieszkałymi na północ i wschód od Karpat. Dodajmy jeszcze kilka drobniejszych studjów tego autora, dalej badania p. L. Krzywickiego nad barwą oczu i włosów ludności powiatu szawelskiego i powiatu płockiego, oraz pracę dra W. Kosmowskiego nad wzrostem i wagą dzieci klas biednych w Warszawie, a wyczerpiemy zupełnie bibljografję antropologji fizycznej Królestwa Polskiego.

Pragnąc wszakże wszechstronnie poznać swe stanowisko wśród ludów kuli ziemskiej, każdy naród koniecznie rozporządzać musi obfitym, nader rozległym, obejmującym najrozmaitsze pierwiastki materjałem antropologicznym. Badania dotyczą tu wielkiej różnorodności cech anatomicznych, a segregowanie tych ostatnich, umiejętne korzystanie z nich i wysnuwanie ostatecznych wniosków wymaga pracy mozolnej i doskonałej znajomości przedmiotu. Tylko badania porównawcze mogą doprowadzić na tem polu do wyników pożądanych, to zaś z konieczności nasuwa objęcie przedmiotu w związku z wynikami otrzymanemi przez innych autorów, a dotyczącemi olbrzymiej rodziny ludów całej kuli ziemskiej. I nietylko korzyści czysto naukowych, teoretycznych spodziewać się możemy z badań tego rodzaju Charakterystyka fizyczna człowieka wskazuje, jakie miejsce przypada mu w udziale wśród innych ludzi, o ile zbliża się on do normy, nie dościga jej lub ją przerasta, dostrzeżone zaś zboczenia każą przedewszystkiem szukać ich

przyczyn, a powtóre usuwać je, jeżeli istotnie są one niekorzystne lub szkodliwe w walce człowieka o istnienie. Tutaj ukazuje nam się związek pomiędzy antropologią a hygieną. A jeżeli nawet — czemu przeczyć nie chcemy — związek ten nie jest tak bliski i bezpośredni — jednakże za zasługę poczytywać to musimy tym, którzy się tą sprawą zajęli, że na wystawie hygienicznej publiczność zapoznać się może z przyrządami i metodami badania antropologicznego.

Pan K. Daniłowicz-Strzelbicki, który w latach ostatnich zebrał obfity materjał pomiarów antropologicznych naszej ludności, badając wzrost, dalej t. zw. wskaźnik piersiowy, czyli stosunek objętości piersi do wzrostu, oraz wagę ciała, do chodzi do wniosku nader interesującego, dającego się streścić w następujących słowach:

»Polacy, mieszkańcy dziesięciu gubernij Królestwa Polskiego, zarówno miarą wzrostu, jak obwodu piersi, jak nakoniec wagą, oraz, co najważniejsza, cyfrą wskaźnika piersiowego zajmują niepoślednie miejsce wśród szeregów narodów europejskich, wskazując raczej na dorodność typu, a nie dając najmniejszego powodu do jakichkolwiek wnioskowań o upadku i zwyrodnieniu rasowem.»

Do tego pocieszającego wniosku dodajmy jeszcze przykład bezpośredniego praktycznego pożytku z pomiarów antropologicznych, przykład w najbliższym pozostający związku z hygieną i pedagogią.

Jeżeli obwód piersi podzielimy na dwa łuki, tylny i przedni, z których pierwszy przechodzi przez wyniosłości łopatek i dochodzi do środka pachy z obu stron, a drugi od tychże dwóch punktów przechodzi przez obie brodawki, to rzecz prosta gdy łuk tylny przeważa, rośnięcie odbywa się nieprawidłowo na niekorzyść rozwoju klatki piersiowej. Jeszcze wyraźniej wystąpi różnica przy porównaniu każdego z tych łuków do wzrostu, czyli przy obliczeniu t. zw. wskaźników. Najlżejsze skrzywienie kości pacierzowej, zbytnie wypuklenie pleców ujawnia się we wskaźniku łuku tylnego. Skoro pomiary wykażą nadmiar wskaźnika łuku tylnego na niekorzyść łuku przedniego (piersiowego), wówczas odpowiednie ostrożności hygieniczne, zwrócenie baczniejszej uwagi na siedzenie dziecka, na pochylanie się zbytnie przy pracy, nakoniec zarządzenie odpowiednich ćwiczeń gimnastycznych pozwolą zawczasu zaradzić złemu, chroniąc dziecko od późniejszych klęsk, od tylu chorób, których źródło tkwi w nieprawidłowej budowie okolicy łopatkowej i klatki piersiowej.

Pan Strzelbicki, którego pracę nader zajmującą p. t. »Przyczynek do badań antropologicznych nad ludnością Królestwa Polskiego«, a pomieszczoną w ostatnich zeszytach czasopisma »Zdrowie«, polecamy każdemu, interesującemu się tą sprawą — przytacza przykład takiego zapobieżenia niemoralnemu rozwojowi klatki piersiowej skutkiem pomiarów antropometrycznych. »Być może — powiada autor — że szeregi pomiarów objętości piersi i wzrostu, dokonywane u dzieci szkolnych co pół roku najwyżej — praca nie wymagająca ani zbytniego nakładu, ani nie zabierająca zadużo czasu — pozwoliłyby nakoniec uchronić tyle setek dzieci od choroby i przedwczesnej śmierci, zawczasu zwracając uwagę na zło w zarodku, zawsze łatwe do wyplenienia, a niestety, nie dające się zwalczyć w późniejszym rozwoju«.

Że zaś istotnie praca to niezbyt trudna i nie wymagająca szczególniejszego przygotowania, o tem każdy na wystawie hygienicznej osobiście przekonać się ma sposobność. (»*Gazeta Polska*«.)

DEMOKRATYZACJA WIEDZY.

II.

OŚWIATA POSZKOLNA WE FRANCJI.

(Dokończenie).

Koleje ruchu demokratyzacji uniwersytetu różne są w różnych krajach. W niektórych, jak np. w Danji, Norwegji, ruch wyspecjalizował się niejako, dając początek swego rodzaju wyższym szkołom włościańskim, o zakresie cokolwiek mniej uniwersalnym, a więcej praktycznym. Gdzie indziej znowu ruch ten zwyrodniał całkowicie, stając się dzięki niesumienności ciała nauczającego rozrywką bez duszy i znaczenia, tak np. wiele wykładów popularnych paryskich zgromadza zaledwie publiczność gapiów lub nędzarzy, wchodzących na salę wykładów zimą — dla ogrzania się. Niezłe i to — tam, gdzie chłód i głód jest pierwszym nieprzyjacielem wszelkiego rozwoju, przyzna jednak każdy, że jest to rezultat nie całkiem zadawalniający. To też ruch uniwersytecki we Francji należy jeszcze do przyszłości: powstają już przeważne głosy i wierzę, że Francja potrafi rozumnie rozwiązać tę kwestję, jak rozwiązała niedawno inną, nie mniej doniosłą.

Chcę mówić o tz. nauczaniu poszkolnem. Termin ten wyjaśnia sam siebie. Chodzi o to, że recydywa ciemnoty grozi tym dzieciom, które ukończywszy szkółkę elementarną nie będą miały sposobności kontynuowania swego rozwoju. W sprawie oświaty niema stania w miejscu — jest postęp lub cofanie się. I ci, którzy nie postępują tem samem wychodzą z nałogu myśli, wyrodnieją.

Rząd sam zwrócił uwagę na to zjawisko i starał się mu zapobiedz przez utworzenie tz. *cours d'adultes*, na których wyrostki kilkunasto-

letnie mogą przypominać i kompletować wiadomości otrzymane ongi w szkole. Dla walki jednak z ciemnotą należało znaleźć coś skuteczniejszego, coś na większą skalę. I jak zwykle społeczeństwo samo obmyśliło i stworzyło ten środek w zbiorowym wysiłku. Wołania Buisson'a, Poincare'go, Bourgeois'a, Cembes'a — z kolei ministrów oświaty i dyrektorów oświaty elementarnej, cyrkularze do delegacji kantonalnych, do municypalności, odezwy do »wolnych kolektywistów«, do nauczycieli — wywołały wkrótce powszechny ruch w kraju. Kongresy z 1894 i 1895 w Hawrze i Bordeaux wypracowały program walki z ciemnotą poszkolną, społeczeństwo zaś walkę tę energicznie podjęło i poprowadziło.

Sprawozdanie p. Edwarda Petit ze stanu sprawy w chwili obecnej jest, jak to zobaczymy, wieścią o pierwszem zwycięstwie. W roku 1894—1895 było we Francji 7322 kursów poszkolnych, w roku zaś 1895—96 już nie mniej jak 13940. Każdy kurs funkcjonował przeciętnie w ciągu trzech miesięcy po trzy razy tygodniowo. Audytorjum, składające się z parobczaków, chłopców sklepowych, terminatorów itp, dosięgło pięknej cyfry 400 000 głów! Paryski okręg akademicki stoi oczywiście na na czele tej krucjaty z cyfrą 2600 centrów ruchu oświaty po-szkolnej. Przyjrzyjmy się na paru przykładach funkcjonowaniu ich.

Przedewszystkiem zaznaczyć trzeba, że ornizatorowie ruchu starali się wszędzie wedle możności połączyć wiedzę ogólną i nawet pewną propagandę literacko-artystyczną z bardzo praktycznemi dla danej miejscowości wiadomościami. Jest to zasada, która tłumaczy nam dlaczego ludność ciśnie się wprost na te wykłady i traktuje je bardzo poważnie. Tak np. w Allier wykładano miernictwo, ogrodownictwo i agronomję popularną. W Ardennes — znowu rolnictwo, wiadomości techniczne i rysunkowe (w okręgu przemysłowym) oraz wiadomości z prawa cywilnego; w dep. niższej Loiry miały miejsce kursa mechaniki i ciesielstwa. — Organizowano również specjalne kursa dla dziewcząt z praktyczną nauką szycia, haftu, gospodarstwa domowego, chociaż nie pomijano wykładów z hygjeny i nawet śpiewu. — Urządzano również lektury powieści, wierszy i utworów scenicznych, a nawet przedstawienia teatralne z samych uczniów złożone. W ten sposób przeświadczono się, że ardzieła Racine'a, Molier'a, Corneille'a, La Fontaine'a, Hugo, utwory Coppe'go, Daudet'a, historja Michelet'a, Thierry'ego, Lamartine'a, pamiętniki i bjografje Hoche'a, de Marceau itd. itd. — zdolne są doprowadzać słuchaczy do prawdziwego entuzjazmu i są niemałą pomocą w tej naukowej propagandzie.

Skonstatowano wreszcie, jak zresztą wszędzie, gdzie dotychczas robiono poważniejsze wysiłki na polu oświaty ludowej, że obrazy na ekranach, okazy, narzędzia do doświadczeń itp. materjalny aparat wykładów dają cudowne rezultaty wobec takiego audytorjum tak dobrze jak w uniwersytetach i na posiedzeniach akademji. Stwierdzono wreszcie, że wieśniak, sklepikarz, rzemieślnik — wogóle ludzie przykuci do gleby lub stołka — czują wielką potrzebę rozszerzenia swych horyzontów za pomocą wiadomości z podróży, geografji i czują wprost potrzebę pożycia od czasu do czasu innem, niepodobnem do powszedniego, życiem.

Słówko o środkach podniecających, wypróbowanych w tej propagandzie. Co się tyczy uczących się, to wyżej wymienione połączenie przedmiotów ogólnych z fachowemi wiadomościami przyciąga dostatecznie poważniejszych. Inni pozostają pod czarem lektury lub wykładów urozmaiconych obrazami na ekranach, lub śpiewu chóralnego, który czasem zamyka godzinę pracy. Zgoła uczący się czerpie chęć do tej pracy w niej samej, o ile jest dobrze zorganizowaną. Podnieta potrzebną jest właściwie dla uczących, dla organizatorów samych.

Zrozumiemy to, gdyż główną armją propagandy stanowią nauczyciele szkół średnich i elementarnych. Otóż ludzie ci dość mają na codzień nauczania, ażeby mogli te wykłady uważać dla siebie za szczególniejsze święto. Społeczeństwo i rząd francuski nie szczędzą tu środków, ku podnieceniu i utrzymaniu ich energji skierowanych. Są zapewne i tacy, którzy pracują li tylko dla idei, ale inni, rozumiejąc wartość swej pracy, nie gardzą zarobkiem, nagrodami w książkach i przedmiotach, palmą akademicką, wzmianką pochlebną w sprawozdaniach urzędowych i t. d.

W każdym razie zasługa ich przed społeczeństwem przewyższy tę odrobiną uznania lub dobrobytu, którą im kraj w zamian za pracę ofiarowuje.

Tak się przedstawia początek ruchu oświaty poszkolnej we Francji. W wielkiem dziele demokratyzacji wiedzy jest to stadjum niezmiernie ważne, a którego zastosowanie w wielu krajach poprzedzać lub conajmniej towarzyszyć powinno popularyzacji uniwersytetów. *Antoni Potocki.*

Z TUŁACZEJ JAZDY.

III

ECHO.

Przez otwarte okno czwartaku wpływały fale gorąca i wybuchy gwaru z wiecznie wesołego *Boul' Miche'a.*

Doktór poskubywał nerwowo bródkę, przechadzał się wśród filigranowych mebelków po-

koiku i od czasu do czasu przystawał przy oknie, z którego widok obejmował długi szereg kawiarni, gdzie przy zapalonych już światłach tysiące studentów i kobiet spijało absynty.

— Gwarno tu u was w Paryżu — rzekł — pomimo pory ogórkowej.

Wojciechowski nic nie odpowiedział. On dobrze czuł, że tu gwarno. Po przebytej gorączce pierwszego roku, egzaminów, po skąpaniu się należytem w atmosferze knajp i bulwarów, od pewnego czasu posmutniał i, jak powiadał jeden z kolegów o s o w i a ł zwłaszcza w gorące dnie lipcowe, kiedy ten i ów z kolonji wyjechał do kraju, odprowadzany na dworzec północny przez coraz szczuplejszą gromadkę pozostających. Wojciechowski czuł jakąś niemoc, jakąś głuchą chorobę bez nazwy, która się wyrażała przedewszystkiem w długich godzinach bezmyślnego zamyślenia. Czasami pół dnia mógł przeleżeć na sofce nie śpiąc i nie czuwając — coś nieznośnie uciskało mu pierś, wzrok uciekał w dal, nie patrząc zresztą ni w siebie, ni przed siebie.

Od czasu go czasu pierś podnosiło, rozsadzało niemal dziwnie boleśne, choć nieokreślone westchnienie...

Niekiedy znów wybierał się Wojciechowski na wędrówkę po wybrzeżach i bulwarach. Szedł wówczas brzegiem Sekwany, bezmyślnie patrząc na leniwy bieg wody upstrzonej brunatno-tłustemi plamami; na statki bez szumu zakreślające linie od przystani do przystani. Żadna wyraźna myśl nie powstawała w jego mózgu, jakby ciężko drzemiącym w skwarze lipcowym Ale czasem zwiędły liść, przedwcześnie strącony przez upał lub widok śpiącego w słońcu z niepokrytą głową włóczęgi — przejmował go nagle niewymownym smutkiem i wyrywał z piersi toż dziwnie bolesne westchnienie.

— Ach Boże, Boże!...

Ostatni raz opanowała go ta »mizerja« na dworcu północnym. Odprowadzał koleżankę, jadącą gdzieś aż w strony zatraconego na mapie Poniemunku. Właściwie do koleżanki tej nie czuł Wojciechowski żadnej słabości. I owszem nawet: na herbatkach koleżeńskich rad nie zawiązywał z nią rozmowy — ile że litwinka była nieco brzydka i dość małomówna. Na kolej poszedł z nałogu: od pewnego czasu odprowadzał nieodmiennie wszystkich jadących do kraju.

Z Litwinką rozmawiał niewiele, za to z dziecinnym oporem siedział w wagonie pomimo wszystkich sygnałów. Wyskoczył w chwili kiedy pociąg ruszał, i jeszcze długo stał w miejscu, patrząc jak szereg wagonów wygiął się w łuk na zwrotnicy, jak później wyciągnął się pod sznur i jak wreszcie ostatni wagon znikł w tunelu..

— Psia krew! — zaklął wtedy i nagle zrozumiał, że to senne odrętwienie mózgu, i te bolesne westchnienia, i ta manja odprowadzań na dworzec północny — to była nostalgja. Wtedy począł gorączkowo garnąć się do swojszczyzny. W papierach i książkach wygrzebywał to, co bezpośrednio, materjalnie przypominało kraj i w bibljotece szukał książek, które czytał niegdyś pod ławką szkolną w Warszawie. — Idąc czasem w stronę kolei północnej odgadywał z fizjonomji pasażerów, że jadą s t a m t ą d. — Wogóle wśród rodaków sprawiały mu prawdziwą rozkosz tylko twarze tych, którzy teraz, niedawno przybyli do Paryża na krótki czas i zaraz mieli wyjechać... Dla tego właśnie uczepił się Wojciechowski doktora, który przed kilku dniami przyjechał do Paryża, uciuławszy nieco grosza na międzyrzeckiej praktyce i po wydaniu takowego miał Paryż opuszczać... Sprzedawszy pewną ilość sprzętów, w porze wakacyjnej niewątpliwie zbytkownych, jak palto zimowe, kołdra i zbyt miękki na upały materac, towarzyszył Wojciechowski doktorowi w długich wycieczkach po muzeach i wystawach, zawsze nie bez utajonego zamiaru zagadnięcia go przy sposobności:

— No, a cóż tam u w a s słychać?

Doktór wówczas skubał bródkę, uśmiechał się mniej lub więcej ironicznie i opowiadał, co było słychać u n i c h. Był to naprzód bardzo znaczny zapas wiadomości anekdotycznych o gubernjalnych i powiatowych dygnitarzach, reprezentujących pierwiastek władzy wśród »miejscowej« ludności. — Następnie szły szczegóły o niektórych procesach, znanych Wojciechowskiemu z treści, choć coraz to nowych z formy. Chodziło zawsze o te same »przestępstwa«, prowadzące mniej więcej do tej samej kozy. — Zmieniały się tylko nazwiska aktorów, występujących na scenie dziesiątego pawilonu. — Język doktora był dość ubogi: »Zawiązało się kółko... Z początku szło nieźle: urządzili wykłady historji i ekonomji.

— Później przyplątał się szpicel... zrobili rewizję u faceta... trzech aresztowali.

I tak ciągle w kółko, zupełnie jak w bajce, która się kończy słowami »powiedzieć wam bajkę czy nie?« a kiedy dzieci wołają »jeszcze, jeszcze!« — bajczarz zaczyna to samo od początku... Wojciechowski ciągle wołał o jeszcze — doktor miał spory zapas wiadomości, — Czasem niebieskie jego oczy śmiały się na zakończenie bez ironji.

— Im się zdaje, że już wszystko wyłapali — mówił doktór, skubiąc bródkę — tymczasem po wzięciu facetów robociarze sami się wzięli w kupę i dalej prowadzą robotę.

— Naprawdę? — dopytywał Wojciechowski.

— Nie ma żartów, rozumie się — odpowiadał doktór — przewąchali co, gdzie i jak i teraz już sami sobie dają rady.

— Tak, ale wykładów już nie mają — zauważył Wojciechowski.

— Phi... mają za to książki.

Około godziny dziewiątej, kiedy żar zwolniał nieco, doktór i Wojciechowski wybrali się

na tamtą stronę Sekwany do Alcazar d'Eté. W drodze doktór opowiadał w dalszym ciągu, w tej bowiem materji nie mogło mu zabraknąć tematu, jak Wojciechowskiemu ochoty do słuchania.

— Z mieszczanami — mówił — to nieraz bywała trudna sprawa. Znałem tam jednego młynarza: nawet był niezły człowiek, ale strasznie łyk zakuty — kłóciłem się z nim nieraz, bo ja sobie z nimi ceremonji nie robię — wiecie co mi raz odpowiedział? — Opowiadałem mu o różnych rozporządzeniach, o kasacji kościołów itd. Ja im zawsze coś takiego opowiadam... Na to młynarz wreszcie odpowiada:

— Może to wszystko prawda, co pan konsyljarz opowiada, ale po co Polacy pierwsi zaczynali?

W pierwszej chwili zdumiony byłem i zaczynam mu wykładać znowu od początku, na to młynarz znów się skrobie w głowę:

— Już my to wszystko wiemy — powiada — ale żeby Polacy nie zaczynali, toby tego nie było, żadnych prześladowań... Co miałem z takim gadać?

— Słuchajcie no, mówię, ani wy taki mądry, żebyście mnie mieli oszukać, ani ja taki głupi, żebym miał wam wierzyć. — Wyśpijcie się lepiej, to może was sumienie ruszy.

— No i cóż młynarz na to — pyta Wojciechowski.

— A no nic. — Przyszedł do mnie raz kiedyś i tak jakoś nakręcał, aż wreszcie powiedział: »wedle tych prześladowań, to pan konsyljarz miał świętą rację: znowu był u mnie, z uczczeniem uszów pana konsyljarza, ten smerda z powiatu, ażebym mu składkę na kaplicę prawosławną płacił«.

Wojciechowski się markotnie uśmiechnął:

— Dobre i to — rzekł — a z chłopami mieliście czasem do czynienia?

Doktór się zadumał.

— Przyznam się wam rzekł, że chłopa tom dotąd nie rozgryzł. I owszem zdawało mi się w praktyce nieraz... Czasem chłop wiezie gdzieś o kilka czy kilkanaście wiorst, więc gada — i zawsze mu swoje wyśpiewałem. — Ale chłop twardy jest do zrozumienia!...

O, twardy...

— Nie daje się spropagować? spytał Wojciechowski.

— Nie to, przeciwnie chłop dużo bardziej jest, że tak powiem, politycznie ukształcony od mieszczanina, ale on ma właśnie już swoje poglądy. Opowiem wam co mi się raz zdarzyło. Wybraliśmy się raz na majówkę w dwie furki. Było trochę panienek, aptekarz, mój rywal-doktór z bratem, obaj bardzo porządni faceci i tam jeszcze parę osób. Jednego chłopa mieliśmy swojego, znajomego; drugiego trzeba było przynająć. Otóż my tam w drodze ceremonji nie robimy, więc sobie zawsze śpiewamy coś. — Raz nawet tak dla wesołości delikatnie wywróciliśmy u r i a d n i k a. — Otóż, rozumie się, jedziemy i śpiewamy »Boże coś Polskę«. Chłop nic — tylko konia podcina — »słuchajcie mówię, jak wam tam, a wybyście wyszli na moskala?« Chłop się nie odwraca, ale po chwili powiada: »Dla mnie, proszę łaski pana, najpierwszy jest Pan Bóg, a po nim Najjaśniejszy pan«... — Wiecie, że jak mi to powiedział, takem wprost zbaraniał. »A ty — mówię — trutniu co mi będziesz jedno do drugiego równał!« A chłop odpowiada. U nas tam w wiosce nie ja jeden tak mówię!«. — Więc dopiero wsiadłem na niego. »Jak kto ci tak powie, to powiedz mu, że jest najpierwszy podlec. Chłop znów mi coś odmruknął. Później wykładałem mu różne rzeczy. Wreszcie drugi ten nasz znajomy chłop mówi do niego: »E, dajta już spokój, nie słyszyta co pan konsyljarz do was przemawia?« Na to mój chłop odwraca się do mnie i mówi: »No jak na drugi raz spotkam wielmożnego pana, to będę wiedział co mam gadać«...

— A nie zadenuncjował was? — spytał Wojciechowski.

Doktór się oburzył.

— E — to mi się nigdy nie zdarzyło. Nie tak już do nich przemawiałem, ale żeby to — to nie!..

Na placu Zgody, wśród szalonego ruchu świetnych powozów, nie podobna już było rozmawiać. Wojciechowski puścił doktora przodem w kierunku A l c a z a r a, gdzie właśnie »niezrównany« Polin występował »w swoim repertuarze«. Doktór szedł raźnie, wywijając się z pod powozów, — jak urodzony Paryżanin. Wojciechowski szedł za nim prawie automatycznie, gryząc wargi i myśląc ciągle o jednem... Wreszcie przebrnęli plac i weszli pod wspaniałe sklepienia pól Elizejskich.

— Wiecie — rzekł nagle Wojciechowski — nie wiem cobym dał, żeby wracać teraz do kraju, natychmiast.

Doktór przymróżył oczko i uśmiechnął się trochę ironicznie.

— Rozumie się, rzekł, przyjdzie i na was kolej: w sam czas przyjedziecie, żeby kogoś zluzować. — No a teraz prowadźcie mnie do tego przybytku.

Jerzy Grot.

Z JAWORYNY.

(Dokończenie).

Wrona gderał trochę na opóźnienie, groził nawet, że może nas wywrócić. X. usiadł koło górala naprzeciwko Broni.

— Nie przedstawiłem się paniom dotąd — zaczął X.

— O panie! — przerwała żywo Bronia, — nie wiem jaką nazwę los panu przeznaczył, lecz wiem jaką wybrał pan sam sobie.

— Taki pseudonim? — zapytał.

— Więcej znaczy dla mnie pseudonim, — odparła. Ja nie mam go jeszcze... nazywają mnie entuzjastką, ale ja przytem mam trochę woli prawda? zwróciła się do mnie.

— A dużo przeszkód zwalczyła pani w życiu? — spytał.

Strapiła się.

— Bo, — ciągnął dalej — wola może zabłysnąć, jak ten blask zachodu, ten przeklęty blask...

— Co? zawołałyśmy obie.

— Lepiej by go nie było; gdy zgaśnie, tem wyraźniej rzeczywistość szarzeje nam przed oczami.

Rozdrażnienie przebijało w jego mowie.

— No cóż! Każda rzecz ma swój koniec — ciągnął dalej. — Niech pani tylko nie bierze tego za dewizę, na to pani za młoda.

— Staruszek! — uśmiechnęłam się.

Bronia posmutniała.

— Każda rzecz ma swój koniec — rzekła zwolna — i cóż stąd? Każda rzecz ślad, pamięć po sobie zostawia. A jaka pamięć po niej — taka i wartość.

— A jeśli pamięć po czemś boli? — zapytał.

— To rzecz była nic warta! — zawołała.

— Otóż to nie prawda! Otóż to nie prawda! powtórzył, trzęsąc głową.

— W bardzo idealnych warunkach, jakich nigdzie nie ma, pani teorja byłaby słuszną nawet w dziedzinie uczuć; teraz zastosować ją można zaledwie do książek i to z wielu zastrzeżeniami.

Milczeliśmy czas jakiś.

— Ciekawy jestem, co życie z pani zrobi, — rzekł wreszcie.

— A nie chciałby pan wiedzieć co ja z życiem zrobię. – Czuć było pewną obrazę w jej głosie.

— Niech pani zrobi wiele dobrego, i niech pani ono nie opiera się zbytnio, — rzekł miękko.

Rozbroił ją, bo rzekła serdecznie.

— Dziękuję.

Wyciągnęła ku niemu rękę; uścisnął ją długo.

— Dlaczego smutno mi w tej chwili? — zapytała po jakimś czasie.

— Pani smutno? — zdziwił się.

— Jest mi i smutno i dobrze. Mówi przezemnie ta szczerość do której zobowiązałam się tam na Jaworynie.

— Ale teraz już blisko Krynica.

— Czy mam powtórzyć pana słowa?

— A może ja jestem fantastykiem, który zmienia zdanie, stosownie do otoczenia, chwili?

— Oraczom nie wolno być fantastykami — rzekła poważnie.

— Oraczom, zapewne; lecz ja jestem tylko chorym nerwowo kuracjuszem.

Potrząsnęła głową.

— Może pan powiedzieć wiele innych rzeczy w tym rodzaju, ale ja nie uwierzę. Nie wstyd panu?

— Wstydzę się okropnie — rzekł z uśmiechem.

— No, to pół biedy!

Rozmawiali tak, dopóki nasz wózek nie stanął przed domem, w którym mieszkałyśmy.

O mnie zupełnie zapomnieli. Odgrywałam rolę niemej przyzwoitki.

Gdy wózek stanął, dwa zdziwione: »już«, zakończyły gawędę. X. zeskoczył, pomógł nam wysiąść i na pożegnanie mnie i Bronię pocałował w rękę.

— Dobranoc panu — mówiłyśmy obie. Dowidzenia — dorzuciła Bronia.

— Żegnam panie — odparł przytłumionym głosem.

Nazajutrz rano, »deptak« zaroił się ludźmi.

Widziałam szybko rzucane spojrzenia Broni, nieznajomego nigdzie nie było. Ten i ów to zauważył.

— Może chory? — pytała mię Bronia.

Ale jakże tu dowiedzieć się o kogo, nie znając jego nazwiska, nie wiedząc gdzie mieszka. Drugiego, trzeciego dnia nie zjawił się. Miałam przeczucie, że nie zjawi się wcale.

Bronia milczała; ze ściągniętemi brwiami zamyślona siedziała przy oknie wychodzącem na »deptak«.

Słyszałam tylko jak szepnęła kilka razy.

— Nie ma go? Co z nim stało.

Tak minął tydzień, gdy z poczty przyniesiono nam spore pudełko, wysłane jak wskazywał stempel z Zakopanego.

W pudełku znajdowały się dwa pęki szarotek i ślicznych górskich porostów oraz kartka brystolu, którą Bronia pochwyciła:

— Przeczytaj — rzekła po chwili zdławionym głosem: Na kartce stało napisane:

„Próżno życie na nas woła,
Bo na naszą padło kartę
Siać dla innych w pocie czoła
I straconą trzymać wartę:“

dalej podpis:

Znajomy z Jaworyny,

Antonina Morzkowska.

Rozbiory i sprawozdania.

Satke Władysław: Powiat tarnopolski pod względem geograficzno-statystycznym Tarnopol 1895.

Poczynając tedy od Tarnopola mamy już pięć z rzędu powiatów Galicji wschodniej opisanych pod względem geograficzno-statystycznym: pow. tarnopolski piórem p. Władysława Satke'go, pow. złoczowski i brodzki przez p. Bronisława Sokalskiego, powiat podhajecki przez p. M. Niedźwieckiego, wreszcie powiat gródecki przez p. Karola Falkiewicza. Z tej ostatniej książki zdano sprawę w jednym z poprzednich nrów »Tygodnia«; praca p. Sokalskiego jest owocem jeszcze lat ośmdziesiątych, a dziś przychodzi nam mówić o dziele p. Satke'go, które — z góry to sobie powiedzmy — przynosi zaszczyt zarówno autorowi, jak i wydawcom »rocznika kółka naukowego tarnopolskiego«, gdzie rzecz ta była drukowaną zanim ukazała się w oddzielnej odbitce.

Autor oparty o prace geograficzne, pomieszczane w warszawskim »Słowniku geograficznym« przez Ludwika Dziedzickiego, Bolesława Rozwadowskiego i innych, a dalej o specjalne studja Nowickiego (Opis pow. tarnopolskiego 1872), Gutwińskiego (Staw tarnopolski 1893) i własne (Klimat Tarnopola 1893); pod względem statystycznym o wyniki badań ogłaszane w wydawnictwach wydziału krajowego, Rady szkolnej krajowej oraz brodzkiej izby handlowej (do jej bowiem okręgu Tarnopol należy) podzielił swoją książkę na dwie części.

W pierwszej daje »pogląd ogólny na położenie, rozległość, granice i kształt ogólny powiatu, zastanawia się szczegółowo nad nawodnieniem, nie pomijając nawet najdrobniejszych dopływów Seretu i Strypy (pobocznych Dniestru), w dorzeczu których leży pow. tarnopolski, przechodzi następnie do geograficznego rozmieszczenia osad, dalej mówi o stosunkach klimatycznych, poświęca osobny rozdział statystyce ludności i z kolei dwa inne stosunkom komunikacyjnym, rolniczym i gospodarczym, potem wylicza płody natury, zatrzymuje się przy stosunkach handlowych i przemysłowych i wreszcie w przedostatnim rozdziale części I-ej omawia stosunki oświaty, w ostatnim zaś przeprowadza statystyczne porównanie pow. tarnopolskiego z innemi powiatami kraju.

Nie sposób wdawać się nam w streszczenie poszczególnych ustępów książki p. S., chcielibyśmy jedynie dać słaby obraz metody, z jaką autor zabrał się do roboty, a która wydaje się nam trafną i sprawia, że przedstawienie dotychczasowych badań geograficznych i obecnego stanu powiatu, jest żywe i pełne, do czego przyczynia się łatwy styl autora nawet w tych ustępach, którym z powodu mnogości cyfr groziła większa niż innym zawiłość. Pracę swoją trzyma p. S. w tonie sprawozdawczym, gdzieniegdzie tylko rzuci jedną lub drugą ogólną uwagę, najczęściej trafną.

Część I-sza dzieła jest wynikiem samodzielnej pracy autora. Do drugiej zawierającej »opis poszczególnych miejscowości« zestawionych alfabetycznie, nadesłali autorowi materjały nauczyciele, którym jako mieszkańcom danej wsi lub miasteczka nie nastręczało zebranie ich zbyt wielkich trudności, P. Satke zastępował w r. 1892 inspektora szkolnego okręgowego w pow. tarnopolskim i wtedy skorzystał ze sposobności, aby podczas konferencji okręgowej nauczycieli zwrócić się z prośbą do nich o owe materjały. Rzecz to w wysokim stopniu dodatnia po pierwsze dlatego, że zebrane materjały przejrzane, poprawione, uzupełnione i podane umiejętnie przez autora złożyły się na ciekawą i pożyteczną książkę, a powtóre, że nauczyciele zachęceni przez swego fachowego zwierzchnika przez sam fakt gromadzenia owych materjałów wniknęli głębiej w stosunki miejscowości, w której uczą, zastanowili się nad zjawiskami nieraz bardzo prostemi, a jednak przez swoją, że tak rzekę, powszedniość nie zwracającemi uwagi, znaleźli sobie na niejedno pytanie odpowiedź, o znalezienie której nie kusili się wcale.

Dla tego, ktoby badał stosunki ludności polskiej rozsianej między ludnością ruską tow. tarnopolskiego, książka p. S. daje materjał bardzo interesujący. Dowiadujemy się np., że niektóre wsie np. Bajkowce (9.2 km. na wschód od Tarnopola) lub Bucniów (11·1 km. na płd.) mają ludność w połowie polską choć w szkole język wykładowy ruski, a mnóstwo jest takich miejscowości, gdzie ludność polska stanowiąca dość duży procent i dość licznie zgromadzona nie ma własnej szkoły polskiej. Pole tu do działania dla tow. szkoły ludowej,

Wiadomości historyczne odnosząco się do Tarnopola i innych miejscowości pow. podaje autor skąpo, może dlatego, iż prace prof. Finkla i dra Górzyckiego rzucające wiele światła na przeszłość miasta ukazują się w tym samym roczniku (lub w poprzednich jego tomach), w którym ta praca wyszła. A i wiadomości folklorystycznych, których sporo rozsiał w swej książce o pow. gródeckim p. Karol Falkiewicz, nie ma prawie wcale w opisie pow. tarnopolskiego. Co prawda książka p. Falkiewicza jest »monografją«, wymaga się więc od niej większej wszechstronności, p. Satke zaś ogranicza się opisem »pod względem geograficzno-statystycznym«.

J. A. Sierpniak.

Wiadomości bibljograficzne.

Encyklopedja ilustrowana wiadomości pożytecznych. Nakładem Michała Arcta w Warszawie Zeszyt 9.

Piekosiński Franciszek dr. Jeszcze słowo o ustawodawstwie wiślicko-piotrkowskiem króla Kazimierza Wielkiego (Odbitka z XXXIII tomu Rozpraw Wydziału histor.-filoz. Akademji umiej., poświęcona cieniom śp. Ant. Zygm. Hecla. Kraków 1896. Str. 1 i 83.

— Kamienie mikorzyńskie opracował . . . Kraków 1896. Str. 73 i tablice.

Urbanowska Zofja. Wojna w czasie pokoju. Opowiadanie. Warszawa 1896. Str. 335.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.